

Od autora: Chciałbym nauczyć się pisać. Proszę o krytykę

- Stachu!

Cisza.

- No łotwórz mi te drzwi Stachu! - Halina waliła zaciśniętą do białości pięścią w drzwi obory. Z nieoheblowanych desek wystawały drzazgi długie na parę centymetrów, jednak babsztyl nic sobie z tego nie robił. Żyłasta łapa uderzała w zmaltretowane drewno z siłą młota pneumatycznego pracującego na najwyższych obrotach i z podobną do niego częstotliwością. W końcu kobiecina przerwała na chwilę, żeby poprawić spódnicę, zsuwającą się co i rusz z jej beczkowatego brzucha. Na moment w wiosce zaplanowała cisza.

- Kurwa jego mać, łotwieraj Stachu, bo jak tam wejść to ci w dupę dam, że nie łustoisz! Ile w łoborze można siedzieć jebany ty...

Jej wiązankę przerwał ryk krowy i przytłumiony głos Stacha dobiegający zza drzwi.

- Halina krowę doję, pójdź ty stąd.

- Stachu?! Kot wlaź na kurnik, grabie potrzebuję! Rusz dupę ze stołka i łotwieraj, ale już!

Cisza.

- Słyszysz ty mnie tam?! Grabie daj mnie, szybko bo ci kolana poprzestawię na wszystkie strony świata!

Przerwała w pół słowa. Coś było nie tak. Cichy szmer dobiegający z podwórza, jakby gład toczył się w dół po zboczu pagórka. Przypadła do ziemi, wysunęła do przodu swój wygięty nochal i wciągnęła głęboko powietrze. Ktoś się zbliżał, ale co to za zapach? Piżmo, końska derka, tanie wino... Halina wygięła grzbiet by wyglądać na większą niż w rzeczywistości, jej twarz wydłużyła się w gniewnym grymasie, a szczecina na karku stanęła dęba.

Do obory, długimi susami przez zieloną trawę zbliżał się dziad. Kaszkiet przekrzywił na prawo i niechętnie odsłonił tyse zakole; skąpane w promieniach słońca lśniło jak polerowane szkło. W dłoni trzymał laskę, zabraną na wypadek spotkania z kogutem. Ptak ów od niepamiętnych czasów był samowładnym królem podwórka, a ścieżkę prowadzącą z domu do obory obrał za swoje terytorium. Nikt oprócz dziada nigdy nie odważył mu się sprzeciwić. Ostatnio gdzieś zniknął, ale staruch nie miał zamiaru dać się zaskoczyć.

Ukryte między zmarszczkami, świńskie oczka obserwowały gęste zarośla w pobliżu obory. Obliznął usta, wąskie niczym kreska na pergaminie i przyspieszył kroku. Marsz stopniowo przeszedł w trucht, trucht w cwał, a cwał przerodził się w nieudolną szarżę, prosto w krzaki.

Kiedy zakrzywiona łapa dziada uderzyła w zarośla Halina była już wysoko w powietrzu. Spadając dostrzegła jego przekrwione ślepią, kryjące się wewnątrz strach i gniew. Instynktownie próbował zasłonić się łaską, ale był zbyt powolny, rozlazły. Sto kilo żywej masy przygniotło go z impetem do ziemi. Widziała pulsującą tętnicę szyjną, jeszcze chwila, jeszcze sekunda, czuła już ustach smak potu i krwi, teksturę mięsa, chciała się w nie wgryźć, delektować, wysunęła kły, szybciej, szybciej no dawaj teraz kurwa!

- Czego chcesz ty pomocię pieprzony ty?

- Ja byłam w łoborze pierwsza po coś dziadu tu przylazł, skurwysynie jeden, grabie potrzebuję, nie mam czasu na ciebie!

- To co się rzucasz babo głupia ty! Kurwa mać! Myślałem, że kogut w krzakach siedzi. - Dziadu splunął za siebie i otrzepał się z trawy. Jego twarz rozpogodziła się, ale po paru sekundach wróciła do swej naburmuszonej codzienności.

- Eż ty jędo wredna, koszulę mam do wyrzucenia przez ciebie. Sto złotych jak psu w gardło...

- To niech nie szarżuje jak jaka dzika świnią!

- Cicho bądź ty babo przebrzydła... - Dziadu zmarszczył brwi i podrapał się w czubek głowy, głęboko się nad czymś zastanawiając. Z profilu przypominał swojego ulubieńca z programów przyrodniczych – starego goryla o imieniu Cezar. Małpa owa miała wiele talentów, ale myślenie abstrakcyjne się do nich nie zaliczało. W końcu wytarł w rękaw spływającą po policzku ślinę i zapytał zaintrygowany:

- A po co przed oborą stoi?

- Po co?! Jak po co?! – Halina zapowietrzyła się ze złości. – Grabie potrzebuję, a Stachu się w łoborze zamknął i nie wychodzi, jeszcze krowe mnie męczy!

Dziadu zamyślił się na chwilę, po czym podszedł do drzwi i zapukał w nie rączką od laski.

Cisza.

- Stachu otwieraj! Halina się piekli, kot po kurniku lata, ja króliki muszę nakarmić, rusz dupę no!

Z wnętrza obory dotarł do ich uszu rozpaczliwy ryk krowy i przytłumiony głos Stacha.

- Halina, krowę doję, pójdź ty stąd.

Dziadu otworzył oczy szeroko ze zdumienia. Żył na skroni wybrzuszyła się i zaczęła pulsować z zawrotną prędkością.

- Jaka kurwa Halina pierdolcu jeden! Własnego ojca nie poznajesz, kurwa jego mać?! To ja ciebie na świat wydałem, a tak mi się odpłacasz? - Dziadu uderzył w drzwi laską. Zatrzeszczały, więc zrobił to jeszcze raz i jeszcze, po chwili nawalał już bez przerwy, z pełnej pary, a trociny leciały we wszystkie strony.

- Co ty robisz dziadu, drzwi do łobory rozwalisz! - Halina zawyla i złapała go za rękę. Wyrwał się. Jego twarz przybrała kolor purpury, podobny do koloru gaci, które co czwartek w programie przyrodniczym zwykł zakładać Cezar. Oczy dziada pokryły się bielmem, z ust leciała fontanna spienionej śliny. Podniósł laskę wysoko nad głowę, jak do ciosu. Halina zrobiła krok w tył, ale potknęła się i upadła na zad. Zasłoniła głowę rękoma.

- Nie bij! - wrzasnęła.

Dziadu nie słyszał. Laska z potężną siłą pomknęła w dół; fala uderzeniowa wzbijała dookoła tumany kurzu. Huknęło na pół wsi. Ręce Haliny opadły bezwładnie, a twarz znieruchomiała w grymasie przerażenia. Jej ciało oklapło, jak przedziurawiony balonik, z którego uciekło powietrze.

Do dziada powoli docierało to czego właśnie dokonał. Krew odpłynęła z nosa i policzków, do tej pory fioletowo czerwone szybko zmieniły się w trupio blade. Ręce drżały. Przełknął ślinę, trochę zbyt pośpiesznie, a może za wolno? Dygotał na całym ciele jakby nie mógł zaczerpnąć powietrza. W końcu złapał się za głowę i wydał z siebie przeciągły jęk.

Początkowe niedowierzanie stopniowo ustępowało, a koniuszki ust starucha podniosły się powoli ku górze. Po chwili szczyrzył się już szeroko, pewnie ze stresu, albo konfuzji. Ni stąd ni zowąd z jego gardzieli wydostał się zduszony, piskliwy, diaboliczny chichot.

Parę sekund później rozdziawił paszczę jeszcze szerzej i wybuchnął gromkim, histerycznym, niekontrolowanym śmiechem, niosącym się na odległość paruset metrów. Przypominało to bardziej wycie wściekłego psa, niż jakikolwiek dźwięk, który potrafiłby wydać zdrowy człowiek. Oczy wyszły mu na wierzch, tak samo jak jęzor, wijący się w rytmie wstrząsających ciałem torsji. Ciągająca się między wargami nić śliny wibrowała pod wpływem gwałtownie wydychanego powietrza. Co jakiś czas dziadu uderzał się przez łeb starając się powstrzymać drgawki co jeszcze bardziej go rozśmieszało.

- Mam cię ty kurwo, mam cię! A już myślałem, że nie zdążę ci dojechać, hehe!

Na twarzy dziada malowało się poczucie triumfu.

- I co ty pizdo mi teraz powiesz, no co? Co kurewko jedna? Hę?!

Halina drżącymi rękoma odgarnęła zmoczone łzami włosy. Wytarła twarz i wydmuchała zafleuniony nos w chustkę. Zebrała się w sobie, po czym spojrzała w prawo, tam gdzie wylądowała dziadowa laska.

Po środku krateru powstałego na skutek potężnego ciosu, pod rączką laski, jak wąż pod kamieniem wił się kogut. Jego długie, złote pióra pokrywał kurz. Spróbował zapiać i groźnie podniósł krwistoczerwony

grzebień, ale ze ściśniętego gardła wydobył się tylko cichy skrzek. Upadły król podwórka był bezbronny w obliczu zwierzęcej siły dziada. W oczach koguta dało się dostrzec smutek i melancholię.

- Dobra Halina, wchodzimy do obory.

Dziadu złapał koguta za nogi, jak karabin.

- Nie chlip, drzwi i tak od dawna chciałem wymienić.

Walnął pięścią w dechy.

- Stachu wychodzisz stamtąd czy sam mam wejść? Gadaj, ale już, bo jak wejdem to będzie wpierdol za wsze czasy!

Cisza.

Zza drzwi dało się usłyszeć przytłumiony głos Stacha.

- Halina krowę doję, pójdź ty stąd! - rzucił lekko ironicznym tonem.

Tego już było za wiele. Dziadu z całej siły pociągnął koguta za ogon i wycelował nim w drzwi. Około pół sekundy wystarczyło, by potężny dziób zmielił deski na papkę. Dla niewprawnego oka musiało to wyglądać jakby sześćdziesiąt kilo dębiny nagle rozplynęło się w powietrzu. Król podwórka zapał zwycięsko. Nawet w niewoli zachował dumę.

Halina otrzepała się z trocin i podeszła razem dziadem do progu obory. Oczekali pół minuty zanim wszystkie drzazgi zdążyły opaść na pokryte słomą klepisko. Ich oczy powoli przyzwyczyły się do półmroku panującego w środku. Przez okna wpadały pojedyncze snopy światła, jakby ktoś, chcąc im pomóc, wycelował w stronę budynku kilkadziesiąt lamp jarzeniowych. Promienie tańczyły i krzyżowały się malując na ścianach abstrakcyjne obrazy. Jeden z nich przypominał dwójkę tancerzy złączonych w uścisku. Ich ręce splotły się do tego stopnia, że stały się nierozdzielne, jak korzenie drzew. Halina przypominała sobie młodość, swój ślub, gdy wirowała ze Stachem tak szybko, że nogi nie dotykały ziemi. Wszystkie twarze zwrócone w ich stronę, podziwiające piękną pannę młodą, radosne, pełne zachwyty. Tego wieczora jej imię nie schodziło gościom z ust. Oczy baby zwilgotniały lekko, więc wytarła je chustką.

- Co do kurwy? - dziadu przystanął i wyjąkał zaskoczony.

Halina podbiegła do niego.

Po krowie nie został żaden ślad. Ani po Stachu. Po środku obory stało wiadro wykonane z blachy niezbyt dobrej jakości - w całości pokryło się rdzawobrunatnym nalotem. Dziadu kopnął je. Huknęło głucho i przewróciło się na bok, zupełnie puste.

Tuż za nim, na stołku do dojenia krowy ktoś ustawił radio przenośne. Zielonkawy wyświetlacz informował, że od przeszło sześciu godzin odtwarzano utwór numer jeden.

Nagle z przerośniętych głośników wydobył się ryk krowy - była wyraźnie zaniepokojona. Co kilka chwil ochrypli głos Stacha powtarzał to samo zdanie: „Halina krowę doję, pójdź ty stąd”, za każdym razem coraz głośniej.

- Ja pierdole – rzekła Halina i runęła na wznak.

*

Stachu poprawił lusterko wsteczne w swoim nowym, lśniącym, czarnym BMW, zagryzł hot dogiem ze Statoila i skupił się na drodze. W końcu czuł się wolny, a szelest kapuchy walającej się na tylnych siedzeniach ciągle mu o tym przypominał. Po co trzymać pieniądze w walizce jak ma się taki samochód? No właśnie.

Na początku myślał, że będzie dobrze, że da radę. To przecież tylko kilka lat, może kilkadziesiąt. Halina za młodu nawet ładna była, ślub ma też swoje dobre strony, nie? Eh, gówno prawda. Dostyc miał już tych zwierząt, tego wycia i szarpania, ciąglego darcia mordy, że zupa za słona, i że krzywo mu się z oczu spojrzęło. Że głosu złego użył. I pierdolenia, że jak tylko się postara to wszystko będzie różowo i słodko. Kurwa i chuj i pizda! Nie jego wina, że się z basem urodził, a ona chciała tenoru. Niech bestie mieszkają z bestiami, niech się mordują i srają pod siebie. Stachu do zoo się nie nadawał, w końcu w szóstej klasie miał świadectwo z paskiem i nawet dostał książkę w nagrodę. Gardził nimi, a najbardziej gardził sobą, że dał się w to bagno wciągnąć, jak jakiś mięczak bez kręgosłupa. Dosłowny mięczak, nie w przenośni, bo ze Stacha twardy facet był.

Westchnął przeciągle. Tyle lat zmarnowanych. Trzeba ratować co się da, trzeba żyć kurwa mać! Trzeba żyć...

Czy źle się czuł z tym, że sprzedał krowę, pół kurnika i pole, z którego utrzymywała się ta, tfu, rodzina? Może trochę. Spojrzał w prawo na okrągły tyłek Jolki, wychylającej się przez otwarte okno. Przypominał jędrne, dojrzałe jabłko, a przy mocniejszym klepięciu trząsał się jak galaretka. Nie, nie było mu żal.

- Joluś przypomnij mi ile za lodzika?

- Jezu no, już ci mówiłam ze sto razy – na twarzy pokrytej grubą warstwą samoopalacza malowało się zniecierpliwienie – pięć dych.

- A macanko?

- No nie mogę! Ile można ci gadać, a ty i tak nie pamiętasz. - Nadmuchała balon z różowej gumy do żucia i przebiła go żółtawymi siekaczami – Dwie dychy za godzinę.

Stachu znowu pogratulował sobie w duchu wrodzonego intelektu. Za jednego lodzika mógł kupić dwie i pół godziny macanka! Ma się ten łeb na karku.

- A tak w ogóle to gdzie my jedziemy? Mówiłeś, że za wioskę.

- No za wioskę Joluś, za wioskę... - zamilkł na chwilę – do Warszawy.

- Co?! Do Warszawy? Jak ja do domu wrócę, głupi jakiś jesteś?

- Bilet ci kupię na autobus, prosto pod dom ci podjedzie, cichaj mała. Ze mną krzywda ci się nie stanie.

Jolka zamyśliła się na moment.

- Faceci to świnię – rzuciła, po czym znowu wychyliła się przez okno. Rozdziawiła pysk i wywaliła jęzor na wierzch. Jak pies.

Trzeba żyć, westchnął Stachu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Leniwiec2, dodano 03.08.2017 20:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.